WESOŁE ABC

ŻYWY DZIENNIK

Proszę cię Zosiu, zostań jeszcze chwileczkę. Mąż mój nie abonuje teraz dziennika, a chciałabym się dowiedzieć wszystkich nowości.

DALEKI ZACHÓD

Długo błąkał się Bill po górach Nevady, gdzie poszukiwał swego kuzyna Johna. Wreszcie wpadł na trop i dotarł do uroczej doliny, gdzie znalazł mały domek z tabliczką „Szeryf". Przed domkiem siedział brodacz i czyścił karabin.

— Pan jesteś szeryfem tej doliny? — spytał Bill.

— Tak jest.

— Bogu dzięki! Teraz odnajdę Johna.

— Nie, Johna już nie ma.

— Mówiono mi, że miecszka w odległości strzału karabinowego od pańskiego domu, szeryfie.

— Tak jest. I dlatego nie żyje.

PRZEWIDYWANIE

— Chcę cię tylko zawiadomić, że dziś przyjdę wcześniej na obiad.

W CUKIERNI NA WIERZBOWEJ

W nowej cukierni przy ulicy Wierzbowej wiszą tabliczki z napisem „Nie palić." Gość, który przyszedł po raz pierwszy, zwraca się do usługującej panienki:

— Łatwo napisać, że nie wolno palić. Czy naprawdę?

— Tak, proszę pana, nie wolno.

— A skąd tyle niedopałków?

— To po gościach, którzy się o to nie pytają.

TEN TRZECI

Pan X. siedząc przy biurku w urzędzie, otrzymał telefon anonimowy tej treści:

— Szanowny panie, żal mi pana. Podczas gdy pan załatwia interesantów, pańska żona... pan mnie chyba rozumie?

— A kto mówi?

— Mówi sąsiad. Widzę wszystko przez okno z vis-a-vis.

Oczywiście pan X. rzuca słuchawkę, wybiega z biura, wskakuje do taksówki i mknie do domu. Wchodzi i zastaje żonę w czułej pozie z obcym mężczyzną. Cóż robi pan X? Wyprowadza małżonkę do drugiego pokoju, wraca, otwiera szufladę, wyjmuje dwa pistolety i mówi:

— Proszę. Będziemy się strzelać.

— Czy warto? — rzecze gość. — Zróbmy coś bardziej rozsądnego. Jesteśmy wszak rywalami. Strzelmy w sufit, padnijmy na podłogę i, kogo ona wybierze, ten przy niej zostanie.

Mąż zgodził się na projekt. Strzelają pif, paf! Walą się na podłogę.

Wpada żona. Widzi dwa ciała. Zawraca. Biegnie do łazienki i krzyczy:

— Jureczku, uciekaj! Oni obaj nie żyją!

Salomonowy wyrok

Pipidowska Akademia Lektury znalazła się w trudnej sytuacji. Jeden z jej członków, najgorliwszy bodaj ze wszystkich miłośnik lektury stał się przedmiotem wrogiej a gwałtownej akcji ze strony weterynarza pipidowskiego, okoliczności zaś sprawy były tego rodzaju, że wysoce utrudniały Akademii jej stanowisko.

Oto przebieg wypadków. Pewnego dnia w „Gazecie Pipidowskiej" ukazał się list otwarty, który zrobił w mieście wrażenie trochę niemiłe. List wyszedł spod pióra dr. Kotek-Kotkiewicza, dotychczas zupełnie spokojnego człowieka i z nikim nie drącego kotów.

— Podaję do wiadomości szanownych obywateli Pipidówki — pisał dr. Kotek-Kotkiewicz, — że w dniu wczorajszym przyszedł do mnie na szachy członek Akademii Lektury, p. Walenty Ateński. Rozegraliśmy trzy partie. Było nas tylko dwu w pokoju i mnie zginął zegarek. Nie chcę nikogo oskarżać, ale, o ile zegarek nie znajdzie się w ciągu 24 godzin, nie będę się krępował w formułowaniu bardziej sprecyzowanych personalnie zarzutów. Z poważaniem dr. Karol Kotek-Kotecki. Lek. wet.

Skonsternowani pipidowianie czytali pismo, kręcili głowami i krzywili się z niesmakiem. W południe, w kawiarni „Wersal", ktoś zagadnął Ateńskiego, co zamierza czynić.

— Sprawa ma podkład polityczny — oświadczył głośno pan Walenty — zignoruję ten nędzny paszkwil.

Nazajutrz w dzienniku pojawił się nowy list dr. Kotkiewicza.

— Ponieważ minęło 24 godziny, a mój zegarek się nie znalazł, podaję do publicznej wiadomości, że był to srebrny zegarek marki „Cymes" z monogramem „KKK" (pierwsze litery mego imienia i nazwiska). Zegarek ten otrzymałem w prezencie od p. Józefa Kobyłkiewicza, za uratowanie jego zarodowej, anglo-arabskiej klaczy „Medżidża". Wyznaczam nowy termin 24-godzinny na znalezienie się mego zegarka, co jeśli nie nastąpi, nie będę się krępował w wyłuszczeniu nazwisk osób, które mój zegarek widziały u p. Walentego Ateńskiego. Z poważaniem dr. K. K.-Kotkiewicz. Lek. wet.

Pipidowianie, przeczytawszy list, pokręcili głowami z jeszcze większym niesmakiem.

— Najwyraźniej grzebie faceta — mówili, krzywiąc się — o głupi zegarek takie aluzje...

Tego dnia p. Ateński chodził po mieście bardziej zdenerwowany, niż wczoraj i na zwykłej kawce południowej w „Wersalu" odezwał się głośno do jednego ze znajomych.

— Zdradziecka kampania polityczna, jakiej jestem ofiarą, zmusza mnie do przedsięwzięcia energicznych środków.

Oświadczenie to przyjęto z uznaniem, a jeden z przyjaciół Ateńskiego podkreślił lojalność, z jaką napadnięty nie reaguje w sposób brutalny, lecz z powagą i godnością zamierza przedsięwziąć energiczne środki.

Inny przyjaciel radził Ateńskiemu:

— Daj pokój, Waluś, nie rozmazuj tej historii. Oddaj mu jego parszywy zegarek.

— Nie! — rzekł stanowczo znakomity lektor — tu idzie o honor.

Nazajutrz nieubłagany weterynarz ogłosił listę 27-miu osób, które widziały jego zegarek u Ateńskiego i zagroził, że jeżeli zguba nie znajdzie się w przeciągu 24 godzin, skieruje sprawę do sądu.

Nazajutrz w „Gazecie Pipidowskiej" ukazało się oświadczenie Ateńskiego.

— Pragnąc uchronić Akademię Lektury od nikczemnych ataków, jakie w związku z moją osobą powtarzają się systematycznie w prasie, zaprzestaję brać udział w posiedzeniach i pracach Akademii do czasu rozpatrzenia tej sprawy przez sąd koleżeński Pipidowskiej Akademii Lektury. Z poważaniem W. Ateński.

Krok ten wywołał ogólne osłupienie.

— Popatrz, popatrz — mówili pipidowianie — a to go zajechał!

Sam doktór Kotkiewicz był zaskoczony, a nawet czuł się trochę nieprzyjemnie. Zawsze to z całą Akademią miec do czynienia, trochę... tego... niebardzo — zwierzał się znajomemu — ale, do cholery, czego mi nie oddaje mojego zegarka!

Akademia zaś zebrała się już tego samego dnia.

— I po kiego diabła nas w to wpląłał — skarżył się sekretarz sądu — czy nie lepiej było załatwić to w cztery oczy?

— No, pewnie — mówił aptekarz, — oddałby ten głupi zegarek i po wszystkim...

— Tak to się mówi — zauważył sceptycznie prezes Akademii, kierownik oddziału R. G. O. — ale wyobraźcie sobie, coby to było, gdyby rzeczywiście odesłał ten przeklęty zegarek. Zaraz by wszyscy powiedzieli: złodziej, ukradł zegarek. A tak, to każdy sobie myśli, że coś w tym musi być. To mądry chłop, ten Ateński.

— Rzeczywiście, a w dzisiejszych czasach zegarek też coś znaczy.

— No, panowie, szkoda czasu. Musimy jakiś wyrok wydać.

Długo radziła Akademia nad sposobem wyjścia z sytuacji, a nazajutrz w „Gazecie Pipidowskiej" ukazał się następujący werdykt:

— Pipidowska Akademia Lektury, rozpatrzywszy na prośbę akademika lektury, Walentego Ateńskiego, zarzuty, skierowane przeciw niemu w prasie w sprawie zegarka marki „Cymes" z monogramem KKK, ustaliła co następuje:

— Zważywszy, że zegarki W. Ateńskiego są zbiorem kolekcjonerskim, że pośpiech pracy kolekcjonerskiej niejednokrotnie narzuca konieczność posługiwania się gotowymi egzemplarzami, zebranymi przez kolekcjonerstwo również bez podania tytułu własności. zważywszy, że W. Ateński, jako wybitny kolekcjoner i posiadacz wielu nawskroś oryginalnych okazów kolekcjonerskich mógł się obejść bez tego rodzaju ułatwień, uzyskując własny wyraz dla swych kolekcjonerskich pasji — trudno dopatrzyć się w zacytowanym w prasie przykładzie momentu rozmyślnej ekspropriacji.

— Że jednak wybitne stanowisko, jakie W. Ateński zajmuje w pipidowskim kolekcjonerstwie, w szczególności zaś wysoce odpowiedzialna godność członka P. A. L., nakłada na niego obowiązek czuwania nad dobrymi obyczajami kolekcjonerskimi, P. A. L. wyraża przekonanie że zastosowane w tym wypadku metody pracy przez akademika lektury przyczynią się do obniżenia powagi kolekcjonerstwa.

Wyrok ten zrobił w Pipidówce prawdziwą furorę. Dr. Kotkiewicz, przeczytawszy werdykt, zdębiał, przetarł oczy, drugi raz przeczytał werdykt, a potem czym prędzej poszedł do „Wersalu".

— Powiedzcie mi — zaczął wypytywać przyjaciół — co ja mam teraz robić? Skarżyć czy nie skarżyć? Bo ja teraz nie wiem: czy on mi gwizdnął ten zegarek, czy nie gwizdnął?

STOP.

ANDRE GIDE W MOSKWIE

Drobny epizod, którego nie opisał w swej książce Andre Gide.

Rzecz dzieje się na Kremlu. Gościa oprowadzają po gmachu zabytkowym i wreszcie wiodą go na wieżę, skąd roztacza się widok na stolicę ZSRR.

Andre Gide zauważył jakiegoś obywatela o twarzy znudzonej, stojącego obok futerału.

— Co tu robicie, towarzyszu? — pyta Gide.

— Pilnuję sztandaru. W tym futerale jest sztandar czerwony, który wywieszę na wieży w chwili wybuchu rewolucji wszechświatowej.

— A dobrze wam za to płacą?

— Średnio, można wyżyć, ale zato posada murowana.

DYPLOMACJA MAŁŻEŃSKA

— Przestań że się dąsać. Kto ci powiedział, że już cię nie kocham?

— Nikt mi nie mówił. Rozum mi dyktuje, że tak źle ubranej kobiety nie możesz już kochać.

SPUŚCIZNA

Drobny wytwórca gwoździ szewckich, człowiek ubogi, zachorował ciężko. Wzywa więc notariusza i zaczyna dyktować swą ostatnią wolę:

— Najstarszemu synowi zostawiam pięćdziesiąt tysięcy, średniemu daję trzydzieści tysięcy, najmłodszemu dwadzieścia... Córce najstarszej daję czterdzieści tysięcy...

— Przepraszam bardzo — wtrąca notariusz — ale mieszkanie szanownego pana, a zwłaszcza wygląd rodziny, budzą we mnie pewne wątpliwości. Czy szanowny pan istotnie rozporządza tak wielkimi pieniędzmi?

— Ależ, panie rejencie — mówi chory — ja zapisuję gwoździe do zelówek.

W HOTELU

Pragnę dostać pokój, w którym by nic nie mąciło ciszy.

SZCZEPKO I TOŃKO

Bezrobotni Szczepko i Tońko wędrują pieszo ze Lwowa do Warszawy. Rzecz dzieje się w lecie. Dochodzą właśnie do Żółkwi, gdzie ich zatrzymuje na szosie stary szlachcic i pyta:

— Dokąd maszerujecie, chłopcy?

— Do Warszawy, pracy szukamy.

— Wstąpcie do mojego folwarku, dam wam zarobić.

Przyjaciele idą. Ziemianin wręcza Szczepkowi siekierę i poleca mu rąbać drzewo. Drugiemu oznajmia:

— W moim saloniku jest pełno much, których nie mogę się pozbyć. Jeżeli je powypędzasz, dam pięć złotych.

I przyjaciele zabrali się do dzieła. Szczepko pół dnia rąbał szczapy, zmęczył się, spocił i jak nieżywy legł na murawie. Co do Tońka, to ten wcale się nie wysilał.

Właśnie szlachcic powraca z folwarku. Obejrzał pracę Szczepka, pochwalił, dał mu zapłatę. Następnie wkracza do saloniku i stwierdza, że Tońko leży na kanapie, pali papierosa i pogwizduje wesoło.

— Jakże z tymi muchami? — pyta gospodarz — miałeś je powypędzać.

— Bardzo proszę, panie dobrodzieju, niech pan tylko popatrzy. Ani jedyny muchi nima w pokoju!

— Istotnie, nie ma.

I zdumiony ziemianin wsuwa mu do ręku srebrną pięciozłotówkę.

*

W chwilę potem, kiedy przyjaciele ruszyli w dalszą drogę, Szczepko zapytał:

— Powiedz ty mi Tońku, jak ty to zrobił? Czy ty muchi ganiał, czy nie?

— Ani jednej ja nie wygonił, wszystkie zostały.

— A jak ty je pochował, Tońku?

— Zwyczajnie, Szczepku. Ja położył pod fortepianem gnojony kwargiel kołomyjski.

NIKT ICH NIE POZNAŁ

Dyktator finansowy Rzeszy Niemieckiej, pan doktór Schacht opowiada w towarzystwie przyjaciół:

— Wyobraźcie sobie, że przed kilku dniami byłem w restauracji hotelu Adlon z Goeringiem i z Goebbelsem. Zjedliśmy kolację na sali ogólnej i nikt nas nie poznał. Ani kelnerzy, ani nawet zarządzający.

— Jakże to się stało! — wołają zdumieni słuchacze. — To nie do wiary.

— Jak się stało? Zwyczajnie. Goering był w ubraniu marynarkowym, Goebbels przez cały czas nie puścił pary z ust, a ja zapłaciłem rachunek gotówką.

STYL NAPOLEOŃSKI

Karol Garnier, twórca gmachu Opery paryskiej, zjawił się z planami w pałacu cesarskim. Napoleon III, który finansował budowę, był nieobecny. Znakomitego architekta przyjęła cesarzowa Eugenia.

Niestety, projekt gmachu nie podobał się cesarzowej.

— Cóż to za styl — rzekła — nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

— Wasza cesarska mość wybaczy — odciął się architekt — jest to gmach w stylu Napoleona III.

To poskutkowało. Eugenia dała się przekonać i dziś Opera jest charakterystyczną ozdobą stolicy Francji.

U DENTYSTY

W gabinecie dentysty zjawia się pacjent. Krótka rozmowa, brzęk instrumentów gotujących się w wodzie.

Lekarz zbliża się do pacjenta, mówiąc: — Proszę otworzyć usta.

W tejże chwili gość zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć.

— Panie, co panu się stało? Przecież nawet nie dotknąłem pańskiego zęba.

— Tak — powiada pacjent zbolałym głosem — ale za to pan doktór stanął mi na odcisku.

OSTRY SOS

Po zjeździe delegatów kółek rolniczych odbył się wspólny bankiet. Nie wszyscy uczestnicy byli otrzaskani z kuchnią wielkomiejską, to też jeden z nich, kiedy mu podano indyka ,nałożył sobie na talerz nietylko plaster mięsa, ale i kilka gałązek ostrokrzewu, któremi przybrano półmisek. Gość ten spałaszował wszystko z apetytem, choć bez wysiłku.

— Jak panu smakował indyk? — spytano go po bankiecie.

— Owszem — odparł rolnik — owszem, tylko sos był za ostry. Jeszcze mnie kłuje w język.

DECYZJA

— Okropne! Pod łóżkiem jest włamywacz! Cóż teraz poczniemy.

— Najlepiej będzie dzisiejszą noc spędzić w bibliotece.

JEDNA Z ZALET

Adwokat dał ogłoszenie, że poszukuje chłopca na posyłki. Zjawia się dorastający młodzieniec.

— Czy lubisz pracować, mój chłopcze? — pyta mecenas.

— Hm, niebardzo.

— Doskonale! Biorę cię, bo przynajmniej nie jesteś kłamcą.

WYJAŚNIENIE

Widzisz, tutaj jest właśnie to niebezpieczne miejsce o którym ci tak często wspominałem.

NIEBIAŃSKIE KŁOPOTY

Jedna z ludowych opowiastek, pochodząca z Bretanii.

Stary Mateusz Kerdavec rozstał się z tym światem i puka do nieba. Przyjmuje go święty Piotr i zlekka stara się wybadać. Z pogawędki wynika, że Mateusz nie był wrogiem napojów wyskokowych.

— Masz, oto kawałek kredy. Pójdziesz na prawo, potem na lewo, ujrzysz tam wysokie schody. Będziesz chodził po tych schodach i co krok będziesz rysował na ścianie kreskę. Zrobisz tyle kresek, ile razy byłeś pijany na umór.

Po kilku godzinach wraca Kerdavec.

— Skończyłeś? — pyta św. Piotr.

— Nie, tylko kredy zabrakło.

KWESTIA ZAUFANIA

Od kilku tygodni p. Alojzy Pieczonka bywał stałym gościem w domu pp. Kuśmidrowiczów, przyczym czas spędzał przeważnie w pokoju dwudziestoletniej ich córki, Frani.

Pewnego razu, po dłuższej bytności we fraucymerze, kawaler puka do gabinetu pana domu. Jest zmieszany, jąka się, nie może zdania skleić.

— Wiem, o co ci chodzi — woła Kuśmidrowicz — jesteś miły kochany chłopak i zgóry zgadzam się na twoją prośbę.

Kawaler milczy przez chwilę, wreszcie odzywa się nieśmiało:

— Przychodzę prosić pana o tysiąc złotych pożyczki...

A na to Kuśmidrowicz wybuchając nagle:

— Co? Panu się zachciało tysiąc złotych pożyczki! Pan myślisz, że ja dam tysiąc złotych pierwszemu lepszemu? Wont!

RÓŻNICA

— Właśnie czytałam, że Abisyńczycy sprzedają swe żony. Czy ty byś mnie sprzedał komuś?

— Nie, ja bym ciebie podarował.

UZASADNIONE PYTANIE

— Proszę mi powiedzieć panie sędzio, dlaczego żebranina ma być grzechem, gdy przecież dawanie jałmużny uważane jest za cnotę.

ZDROWIE

Mały Andrzej do swej siostry, która szminkuje się przed lustrem:

— Czy to prawda, że piękne rumieńce są oznaką zdrowia.

— Oczywiście.

— A więc ty z prawej strony jesteś zdrowsza niż z lewej.

PRZED ŚLUBEM

Narzeczony do małego braciszka swej przyszłej żony:

— No i co ty powiesz Kaziku na to, że ci zabieram siostrzyczkę.

— Powiem „Chwała Bogu!"